

Kiedy pierwszy raz przechodziłem obok muru, widziałem, jak on dotykał go delikatnie opuszkami palców. Przekrzywiwał lekko głowę, zbliżał i oddalał twarz, wachał i chyba nawet smakował. Zaintrygował mnie, lecz nie zatrzymałem się, gdyż spieszyłem, by załatwić pewne niezmiernie ważne sprawy.

Powtórnie pojawiłem się tam po kilku tygodniach. Pomimo tego, iż znowu brakowało mi czasu, przystanąłem na moment. Znacznie zwiększyła się liczba przechodzących obok muru. Prawie wszyscy zatrzymywali się i przyglądali mu. Wydawali się rozczarowani. Być może dlatego, iż właściwie nic się nie działo. Nieruchomo, całym ciałem przywierał do muru. Rozchylił nogi, rozwarł ręce i palce, twarz policzkiem przytulił do tynku. Tak, jakby chciał stać się jego częścią. Jakiś człowiek splunął w jego stronę, inny roześmiał się. Odszedłem, by, wiedziony ciekawością wrócić wieczorem. Czy nadal tam jest?

Stał w dokładnie tej samej pozycji, jak w chwili, kiedy go opuściłem. Błady, matowy, z błyszczącymi w świetle latarni, nienaturalnie rozszerzonymi oczyma. Tym razem podszedłem bliżej, co pozwoliło mi zauważyć, że wykonuje nieznaczne, powtarzające się co kilka minut ruchy wargami. Poza tym nie mrugał, nie drżał pomimo lekkiego wieczornego mrozu. Nie dostrzegalem nawet, czy oddycha!

Uznałem człowieka za szalonego, chorego, upośledzonego umysłowo. Kogoś, kto powinien być pod opieką lekarza. Dlaczego nikt nie zadzwonił do odpowiednich służb? Skąd taka obojętność w ludziach? Dlaczego ja nie zadzwoniłem?

Powiedzieli, że już jadą. Nie zdziwili się, nie pytali o szczegóły. Zasypiałem, rozmyślając o słuszności swojej decyzji. Być może moja ingerencja zburzy jego szczęście? Szczęście człowieka, który coś odnalazł lub człowieka, który odnalazł to szczęście właśnie w szukaniu czegoś, człowieka nieuleczalnie chorego. Zaufanie do lekarzy – specjalistów, wiedzących, co czynić, pozwoliło mi przespać noc spokojnie.

Rano poszedłem tam, by zobaczyć, czy ludzie nadal przychodzą. Ogromne było moje zdziwienie, gdy ujrzałem go nadal stojącego przy murze. Odgoniłem dzieciaki, które podśmiewały się i szydziły z niego, wyjaśniając niestosowność ich postawy i szybko wróciłem do domu, by ponownie zadzwonić.

Odpowiedzieli, że tam nikogo nie było i żebym przestał stroić sobie żarty, bo mogą przyjechać po mnie. Oburzyłem się i nawymyślałem im, używając słów, których na co dzień nie używam.

Koło południa wróciłem tam znowu. Zbliżyłem się. Prawie bez ubrania, bardzo nieznacznie, ale widocznie poruszał się. Językiem żłobił podłużny rowek w tynku, podobnie kolanami, łokciami, palcami i innymi częściami ciała, które miały styczność z murem. Przyglądałem się ponad dwie godziny. W międzyczasie ktoś mnie opluł, ale zignorowałem go. Gdy pod jednym z jego palców pojawiła się rdzawość cegły – uciekłem.

Nie na długo jednak. Zaciekawienie i irytacja przywiodły mnie tam wieczorem, tego samego dnia. Spędziłem całą noc wpatrzony w jego oczy, niewidzące nikogo i nic poza murem, lecz mające wyraz oczu kogoś, kto dostrzega wszystko: dociekliwe, myślące, pałające. Przykuwały moją uwagę. Może dlatego, iż w ciemności nie mogłem dostrzec wyraźnie nic więcej.

O świcie próbowałem odejść, lecz nie udało mi się. Człowiek przy murze zmuszał mnie do pozostania przy sobie. Kolejna próba, podjęta po południu powiodła się. Jednak spokój, który mnie ogarniał i nad-

chodząca wraz z nim bezmyślność, drażniły mnie. Po godzinie wróciłem. Nie byłem zaskoczony bujnymi pnąciami powoi, oplatającymi ciało przylegające do muru. Nie przeszkadzały w obserwacji.

Straciłem poczucie czasu, lecz wiem, iż był dzień, gdy zbliżył się do nas jakiś człowiek. Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć stojącego przy murze. Wtedy pojawiło się we mnie poczucie własności. On jest mój! Rzuciłem się na przybysza, przewróciłem i zacząłem dusić. Szamotał się, aż wreszcie zdołał wyswobodzić i uciec. Zbliżyłem się do człowieka przy murze, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Gdy zobaczyłem płynącą z jego nadgarstka strużkę krwi, która nie zabarwiała na czerwono ani tynku, ani powoi, odskoczyłem przerażony.

Przez jakiś czas stałem, a zgęstniałe powietrze z trudnością przedostawało się do płuc. Strach powoli przeradzał się w złość. Chwyciłem kamień i rzuciłem w mur, obok przytulonego doń człowieka. Nie zareagował. Podniosłem następny i tym razem celując w niego, rzuciłem. Nie trafiłem. Następne rzuty także nie przyniosły żadnych rezultatów. Po pewnym czasie zacząłem lepiej dobierać kamienie, ważyć je w dłoni, celować jak najdokładniej, lecz efekty nadal były takie same – chybiałem!

\*\*\*

Kiedy pierwszy raz przechodziłem obok muru, zobaczyłem człowieka rzucającego weń kamieniami. Zaintrygował mnie. Betonowa ściana była zupełnie gładka, bez żadnej rysy, odprysku czy wgłębienia, a człowiek ten wyglądał jak ktoś próbujący trafić w jakiś wyraźnie określony cel.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

robert\_augustyn, dodano 15.05.2018 10:48

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).